

3

6 sierpnia 2014, godzina 1.00

Grunt to nie panikować.

Drzwi kaplicy otwierają się, wchodzi dwóch typów z przewencyjnego.

– Policja!

Pistolety w dłoniach, ostre spojrzenia.

– Policja! Kto tu jest?!

Stukot desantów.

– A wyłaż, ty skurwysynie, świętokradco pierdolony! Gdzieżeś się schował?!

Wysoki ton głosu. Kobieta. A więc nie dwóch typów, lecz typ i babka. Ale co do broni w rękach i świdrujących powietrze spojrzeń, na pewno miałem rację.

– Wyluzuj, laska. Może uciekł?

– Świadek powiedział, że cały czas obserwował rozbite okno. Nikt nie wychodził.

– A dodatkowe wyjścia? Zarządca kaplicy coś o nich mówił?

– W zakrystii były drzwi, ale zamurowali w zeszłym roku.

– Właśnie, zakrystia.

Znowu stukot butów. Facet idzie pierwszy, głośno oddychając. „Laska” za nim. Już są obok trumny.

– Ty, a co ten nieboszczyk tak dziwnie...

Otwieram oczy.

– O kurwa! – policjantka odskakuje. Przewraca się. Jej towarzysz ani drgnie.

Łapię faceta za głowę i pach, w burtę trumny. Broń, odebrać mu broń. Jedną ręką za pachwinę, drugą do przedramienia, ale wrywa się, skubany. Walę pięścią w brzuch, dokładam

jeszcze z kolana w brodę. Okej, mam glocka. Sprawdzam kciukiem wskaźnik obecności naboju. Pocisk w komorze.

Funkcjonariuszka podnosi się z ławki, na której wylądowała. Celuje we mnie.

– Rzuć broń! – krzyczy.

– Rozwalę go! – Łapię policjanta lewą ręką, trzaskam go w czubek głowy, żeby się nie szarpał. Wiotczeje. – Oddaj tą swoją pukawkę, bo...

– Rzuć broń, powiedziałam!

Strzela w górę. Konkretnie w kinkiet nad ołtarzem. Robi się o połowę ciemniej.

– Słuchaj, pani Rambo. Zabiję twojego partnera, jeśli to ty nie odłożysz broni.

– Rzuć broń... – powtarza zacięta płyta, ale już bez przekonania. Ten przestrzelony kinkiet ją speszzył.

Patrzymy sobie w oczy. Młoda przesuwając palec na spust. Robię to samo i wciskam lufę w skroń nieprzytomnego. Ja też nie żartuję.

– Dobrze – mówi. – Odkładam.

Tak jak myślałem. Obrazy bywają bardziej wymowne niż słowa.

– Kopnij w moją stronę.

Kopie.

– Dobra. Teraz skuj sobie jedną rękę.

Marszczy czoło.

– No dalej!

Wyciąga kajdanki, zatrząskuje obręcz na nadgarstku.

– A teraz zdejmij but.

– Że jak?

– Cholera, kobieto, czy polski to naprawdę twój rodowity język?! Masz zdjąć któryś but! Co, na miga ci wytłumaczyć?

Pochyla się niespiesznie.

– Tylko żadnych fałszywych ruchów – dodaje. – Nawet nie myśl sięgać do krótkofalówki.

Kiwa głową. Jest nieźle wystraszona. Zdejmuje but. Ja zdejmuję but panu aspirantowi. Później biorę jego kajdanki.

– Chodź tu.

Kobieta waha się.

– No chodź!

Wreszcie wykonuje polecenie. Zakładam wolną obręcz jej kajdanek na nadgarstek nieprzytomnego policjanta.

– Pochyl się. Niżej!

Drugimi kajdankami skuwam im kostki, łączeniem nad pierwszą parą. To powinno ich jako tako unieruchomić. Nie wyglądają na szczególnie bystrych... a właściwie, wnioskując po tym „policja, kto tu jest?!“ pana aspiranta oraz refleksie pani Rambo, wyglądają na szczególnie niebystrych... więc chyba nie dadzą rady się uwolnić.

– Słuchaj, jestem też jestem policjantem. A raczej byłem, przed śmiercią. Głupio mi tak postępować ze swoimi, ale... Jak mówią w filmach: to nic osobistego.

Uderzam ją w głowę chwytem pistoletu. Kobieta pada bez przytomności.

Dobra, mogę spływać. A nie, chwila. Zapomniałbym. Kluczyki do obu par kajdanek. Odśukuję; chowam w kieszeni. Zabieram krótkofalówki, broń, no i telefony.

Zerknę jeszcze do zakrystii.

Umarlak leży w kącie, w samych slipkach. Obok moja piżama. Sorry, przyjacielu. Nie miałem wyjścia. Podmieńcy są wszędzie. Jaką mam szansę, że, mimo późnej pory, nie spotkam żadnego z ich bandy w drodze do domu? Na pewno mają mnie na celowniku. W piżamie przykuwałbym zbyt dużą uwagę. Połapaliby się, spróbowaliby mnie zatrzymać. Wiesz, jak jest. Nie mogę dać się złapać. Musiałem zdobyć nowe ubranie. Tylko ty przyszedłeś mi do głowy... Sprawia ci nowy garnitur, zobaczysz.

Wychodzę, rozglądam się. Broń i środki łączności ciskam w krzaki. Idę do bramy cmentarza, jak gdyby nigdy nic. Wokół cicho. Nawet sowa nie zahuczy, pies nie zaszczeka. Ruszam chodnikiem. Cisza przytłacza.

– Ożesz ty gnoju!

Ten sam głos, który krzyczał, że wezwie policję.

W zeszłym roku przesłuchiwałem kulturystę, podejrzanego o handel metanabolem z Wietnamu. Mistrz województwa, bywalec zawodów międzynarodowych. Miał podobne gabaryty, co gość wrzeszczący teraz zza furtki.

Mogłem jednak wziąć ze sobą pistolet pana aspiranta. I pani Rambo również.

– Mendo społeczna! – Olbrzym wyskakuje na ulicę. – Chodź no tutaj, złodzieju!

Okej, już pędzę. Tylko że w przeciwnym kierunku.

Cholerna kostka. Zmarłych nie boli, ale skłamałbym, mówiąc, że wykręcona stopa mi nie przeszkadza. Zbyt wolno biegnę. Przyspiesz. Przyspiesz, Marcin... Jak w złym śnie – ciężko się rozpędzić.

– Stój, gnoju!

A może go wystraszyć? Pokażę twarz, obrzęk na szyi. Krzyknę: „Łaa, jestem zombie, zjem cię, śmiertelniku!” Nie, bez sensu. Zanim zdążę się odezwać, gość mnie znokautuje.

Skrzyżowanie. Skręcać czy nie? Obok pasów widzę wąską uliczkę. Tamtędy spróbuję. Trzeba tylko przez skrzyżowanie...

Światła. Pisk. Trzask.

– Aaa!

Olbrzym frunie nad maską. Odbija się od szyby i ląduje na poboczu.

– Jeju! – z wnętrza samochodu.

A ja? Co się ze mną dzieje? Leżę. Musiałem się potknąć, albo dostałem reflektorem.

Latarnia mruga. Raz widniej, raz ciemniej.

– O kurwa mać. – Kierowca stoi nad wielkoludem.

Krew na jezdni i ścianie kamienicy.

Latarnia mruga.

– Ja nie... ja nie widziałem... Matko.

Mogę wstać? Nic sobie nie połamiałem? Uff... Fart.

– Ej! Halo! – Kierowca patrzy na mnie. Młody chłopak, maksymalnie dwadzieścia lat. – Niech mi pan pomoże.

Odwracam się. Idę.

– Nie! Czekaj pan! Pogotowie. Trzeba zadzwonić, trzeba... Wracaj, człowieku!

Biegnę.

Latarnia gaśnie na dobre. Cholera, powinni coś zrobić z oświetleniem w tym mieście.

Skręcam za rogiem.

2 sierpnia 2014, południe

W pokoju przesłuchań siedziało trzech mężczyzn. Marcin stukał palcami w podłokietnik fotela. Andrzej, drugi policjant z wydziału kryminalnego, złożył ręce na piersiach. Obaj przecinali wzrokiem bladą twarz Kacpra Runowika – młodego kolesia o wąskich barkach i z zapadniętymi policzkami.

Andrzej chrząknął.

– Opowiedz nam jeszcze raz.

– Ech... – westchnął przesłuchiwany. – Znalazłem torebki z tym proszkiem przed klatką schodową.

– Przed klatką czy w środku?

– Przed. Na wycieracze.

– Wcześniej mówiłeś, że na schodach.

– Przejęzyczyć się musiałem. No więc znalazłem te samarki. Pomyślałem sobie, że ktoś pewnie zgubił, i że odzyskać będzie chciał. Ale przecież nie wiedziałem, czyje to. Więc zabrałem do siebie. „Jak ktoś będzie szukał, to mu oddam” – pomyślałem. I tyle.

Andrzej zerknął na Marcina. Marcin wciąż milczał.

– I tyle... Słuchaj, Runowik, obserwujemy cię od dłuższego czasu. Sprzedajesz fetę wszystkim ćpunom z twojej ulicy.

Przesłuchiwany zarechotał.

- Co cię tak śmieszy?
- Niczego nie sprzedaję, człowieku. Dowody jakieś macie?
- Dowody? Pytasz o dwadzieścia gram koksu w twoim mieszkaniu plus zeznania świadków?
- Gramów.
- Słucham?
- Prawidłowa odmiana to „gramów”, nie „gram”. – Kacper Runowik odchylił się na krześle.
- Czego chcecie? Co miałem zeznać, już zeznałem.
- Chcemy poznać twojego dostawcę. Skoro...
- Andrzej – odezwał się Marcin – przepraszam, że ci przerywam, ale czy mógłbyś zostawić nas samych? Na chwilę.

Andrzej chrząknął. Podrapał się po ramieniu, kiwnął głową i wyszedł. Runowski odprowadził wzrokiem policjanta.

Marcin długo milczał. Wydawał się bardzo zainteresowany muchą, drepczącą po krawędzi blatu.

- Nie lubię, kiedy ktoś robi sobie ze mnie jaja. – Spojrzał na dilera. – Dosyć ściem. Okej?
- Powiedziałem wszystko, co...
- Od kogo sprowadzasz towar?
- Ech... Nie wiem, o czym pan mówi.

Marcin znów popatrzył na muchę. Zatrzymała się.

- Zabij ją.

Diler wybałuszył oczy.

- Co?

- Muchę – wskazał palcem. – Zabij ją. Zmiażdż.

Twarz Runowika przybrała niepewny wyraz. Oblizał usta. W końcu uniósł rękę i zamachnął się. Nie zdążył przyłożyć.

Marcin złapał chłopaka za przegub. Walnął jego ręką w stół.

– Ała! Za co?

– Powiedziałem: dosyć ściem! Nie rozumiesz prostych słów? Zbyt skomplikowane jak na twój mózdzek? – Wstał. – Może to ci rozjaśni umysł. – Wyjął z teczki fotografię i położył przed dilerem.

Runowik odwrócił się.

– Patrz! – Marcin chwycił go za głowę i nakierował na zdjęcie. – Dziewczynka, którą otrułeś. Wylądowała w szpitalu, bo spróbowała twojego towaru, wzmocnionego środkiem do mycia toalet.

– To nie ja! Ja nic...

– Trzy osoby widziały cię z nią poprzedniego dnia. Coś jej dawałeś.

Przesłuchiwany dygotał. Skrył ręce pod stołem.

– Topisz się w gównie, chłopcze. Rozumiesz?

– Pan mnie puści.

Wzmocnił nacisk na skronie dilera.

– Ledwo uszła z życiem. Dopiero co skończyła piętnaście lat. Jak możesz nie mieć wyrzutów sumienia?

– Przecież...

– Piętnaście lat! Prawie zabiłeś niewinną dziewczynkę.

Diler głośno oddychał.

– A jej rodzice? Wiesz, jakby się czuli, stojąc nad trumną własnej córki? Powiedz, naprawdę cię to nie rusza?

– Nie, tak patrzeć na to nie można. Przecież jej nie kazałem. Sama chciała.

– Co chciała?

– No, wziąć...

Marcin poklepał młodego po plecach.

– Właśnie przyznałeś się do winy.

Wrócił na swój fotel.

– Okej. Teraz będziesz śpiewał, od kogo ściągasz towar.

Runowik otworzył usta, ale natychmiast zamknął z powrotem. Podrapał się po karku. Złapał wzrok Marcina i patrzył bez słów.

– No i jak? Jesteś gotów z nami współpracować?

Na twarz młodego wrócił delikatny uśmiešek.

– Nie tylko o to chodziło, prawda?

– Co masz na myśli?

– Żebym się przyznał, że to ja tej małej fetę sprzedałem. Nie tylko o to chodziło. Pan nie udawał, do tej sprawy pan naprawdę emocjonalnie podchodzi.

Marcin zarechotał.

– Masz taki paskudny szyk zdań, że aż czasem ciężko cię zrozumieć – powiedział, odgryzając się za „gramy”. – Pytałem o dostawców. Podaj nazwiska, pókim miły.

– Tylko skąd ta emocjonalność? – kontynuował Runowik. – Może stąd, że pan ma córkę w podobnym wieku, co ta dziewczynka.

– To nie jest... – Moja córka. Moją córkę podmienili. – Skąd wiesz?

– W końcu nie tak daleko od siebie mieszkamy. Dopiero teraz skojarzyłem. Weronika, prawda?

Marcin ściągnął brwi, zacisnął szczękę.

– Uważaj, chłopcze, na każde słowo, które teraz wypowiesz.

– Spokojnie – odchylił się na krześle. – Ta pańska córka, to bardzo fajna dziewczyna jest. I jaka grzeczniutka; nie pije, nie pali. Tylko mogłaby się trochę bardziej... no wie pan.

– Nie, nie wiem. – Żyłki zapulsowały na czole.

– Nie, żeby twierdził, że Weronika się nie szanuje, ale gdyby przyszedł czarownik i zmienił ją w placówkę banku, to, hmm... pieniądze w tym banku zbyt bezpieczne by nie były.

Żyłki nie wybuchły tylko za sprawą jakiegoś cudu.

Marcin wstał w ułamku sekundy. Szokująco niewiarygodne, z jaką lekkością poderwał fotel

i cisnął nim nad stołem.

– Kur...

Harmider opanował pokój przesłuchań. Runowik, wraz ze swoim krzesłem, runął na podłogę.

– Ty szmaciarzu! – Marcin doskoczył i walnął go pięścią w nos. Potem złapał za kark i skonfrontował głowę dilerka z metalową szafką.

Drzwi otwały się, wpadł Andrzej.

– Co jest?

– Ratunku! Ludzie, ratunku!

Odgłosy kopniaków pomieszały się z wołaniem o pomoc.

– Marcin! Zostaw!

– Zatłukę jak psa!

Andrzej złapał napastnika pod pachy i odciągnął.

– Puszczaj!

– Idziemy, Marcin.

Wyprowadził go, obrywając przez przypadek z łokcia. Za drzwiami zmierzył partnera wściekłym spojrzeniem.

– Co ci odjebało, stary? Miałeś grać złego policjanta, ale bez przesady!

Marcin cały się trząsł, miał czerwoną twarz jak kampania reklamowa lodów Koral.

– Cholerny gówniarz.

– Złamałeś mu nos! – Andrzej wskazał palem chłopaka, który za szybą podnosił się z ziemi.

– Wiem.

– Będziemy musieli wezwać lekarza!

– Wiem, spieprzyłem. Sprowokował mnie.

– Sprowokował? Takiego twardziela z lodowatą krwią? – Chrząknął, tym razem głośniejszymi dwoma razy.

Kacper Runowik wrzeszczał w pokoju przesłuchań. Za rogiem korytarza dzwonił telefon; oficer dyżurny wychylał się, obserwując niedyskretnie Marcina i Andrzeja.

– Muszę wyjść.

– Co? Teraz?

Rozłożył ręce. Ruszył w stronę wyjścia. Po drodze skręcił w półotwarte drzwi.

– Wytłumaczysz mnie, jakby coś? – zapytał, gdy Andrzej zmaterializował się za jego plecami.

– Z nagłego wyjścia czy z pobicia dzieciaka, który miał nas doprowadzić do laboratorium amfetaminy?

Marcin otworzył szafę i wyjął swój pistolet. Potem, drżącą dłonią, złapał magazynek i naboje.

– Cholera jasna! – Nim zaczął ładować, wszystko spadło mu na podłogę.

– Czekaj, ja to zrobię. – Andrzej przykucnął i zaczął składać broń. – A ty się uspokój! Kurwa mać, teraz Runowik powie co najwyżej tyle, że chce adwokata. W ogóle, co z tobą nie tak? Odkąd cię znam, nigdy nie rzuciłeś się na podejrzanego.

– Nie, stary. To nie byłem ja.

– Masz – podał mu gotowy pistolet. – Przestań się tak telepać, bo jeszcze się postrzelisz. Pamiętasz mojego kuzyna?

Marcin wetknął broń za pasek.

– Przepraszam. Naprawdę muszę iść.

6 sierpnia 2014, godzina 2.30

Rozmyślałam nad pozytywami i negatywami martwości, i nie wiem, jak zaklasyfikować brak głodu. Albo pragnienia. Niby fajnie, że nie trzeba dostarczać organizmowi składników odżywczych, ale z drugiej strony... No właśnie.

Pijaczek śpi na ławce przy monopolowym. Tuli opróżnioną do połowy flaszkę jak miśka. Ro-

zglądałam się. Ulica pusta, nie licząc motocyklisty, który właśnie mija rondo. Elewacje bloków przypominają tekturowe rekwizyty, sztuczne tło spektaklu teatralnego. Wszystko wydaje się nierzeczywiste.

Wyciągam dłoń. Żeby go tylko nie obudzić... Chwytam szyjkę butelki. Powoli, delikatnie... Menel porusza się. Mlaska, bełkocze coś, nie otwierając oczu. Wyjmuję flachę zza jego skrzyżowanych ramion. Odwraca głowę i śpi dalej.

Dobra. Idę. Między dwoma blokami jest zaułek, tam mogę przystanąć.

Na niebie księżyc, prawie okrągły. Ciekawe, czy podczas pełni budzi się więcej takich jak ja. Zombie, wilkołaki, wampiry. Może poznam nowych przyjaciół? O ile do tego czasu nie odnajdę moich bliskich i nie zaznam spokoju, a mam nadzieję to właśnie uczynić.

Odkręcam butelkę. Nie piłem wody już ładnych kilka miesięcy. Łyk, łyk, łyk. Martwi nie czują smaku ani zapachu. To dobrze czy źle? Trudno powiedzieć; zależy dla kogo.

Robaki w brzuchu jakby się uspokoiły. Alkohol powinien je zabić, a przynajmniej przeszkodzić w rozkładaniu mojego ciała.

Tłukę butelkę. Ale nie całą, tylko dolną część. Tak jest, piękny tulipan.

Nie dość, że nierozważnie wyrzuciłem pistolety policjantów, to jeszcze zapomniałem wziąć szprychy. A broń jest mi potrzebna. Będzie doskonałym argumentem w rozmowie z podmieńcami.

Chowam tulipana za pazuchę i idę dalej.

2 sierpnia 2015, popołudnie

Knajpka norweska świeciła pustkami. Tylko przy pierwszym stoliku dwoje ludzi – kobieta w garsonce i mężczyzna o zaczesanych na bok, sztywnych włosach i z podwiniętymi rękawami koszuli – dyskutowało nad stertą papierów. Zamówione naleśniki leżały nietknięte, filiżanki z kawą były natomiast przyklejone do dłoni rozmawiających.

Za ladą stała dziewczyna wysmarowana bronzem. Marcin podszedł do niej.

– Słucham pana. – Miała równie sztuczny uśmiech, co biust.

– Gdzie Justyna?

– Proszę?

– Co, Justyny nie znasz?! Pracuje tutaj.

– Tak, ale... Przepraszam, kto pyta?

Machnął legitymacją. Dziewczyna przygryzła wewnętrzną stronę policzka, następnie wskazała uchylone drzwi.

Podziękował skinieniem głowy.

W kuchni pachniało kawą. Tylko i wyłącznie kawą; żadnej woni ryb, przypraw czy smażonego oleju. Knajpka bardziej przypominała kawiarnię niż restaurację.

– Marcin? – Justyna zerwała się z krzesła, odkładając czasopismo. – Cześć. Co ty tu robisz?

Bez słowa minął lodówkę i zmywak.

– Wpadłeś spróbować naszego łososa?

Łosoś, który nie jest łososiem.

– Bierzesz w tym udział, prawda? – zapytał Marcin.

Justyna spojrzała w lewo, potem w prawo, potem znów na niespodziewanego gościa.

– No wiesz, pracuję tutaj.

– Nie chodzi mi o restaurację.

– A o co?

– O podmienianie ludzi.

Milcząc, schowała ręce do kieszeni.

– Jesteś częścią planu. Nawiązałaś ze mną znajomość, żeby wniknąć w moje życie i zacząć mieszać.

– Chwila. Do czegokolwiek zmierzasz, pamiętaj, że to ty do mnie zagadałeś. Jeśli nie pasuje ci nasza znajomość, możesz...

– Ukartowaliście to.

– Słucham?!

– Ukartowaliście wszystko. Nie wiem, z kim współpracujesz, nie wiem, czy jesteś mózgiem akcji, czy tylko pionkiem, ale waszym celem jest podmienienie nas na sobowtórów. Co dalej? Kogo jeszcze podmienicie? Moich kolegów z policji? Całą policję? A może rząd, z Tuskiem na czele, żeby jego zamiennik władał Polską? Albo całą Europą, he? Zrobicie go jakimś prezydentem Unii i szlus. A później już tylko Waszyngton, Watykan...

– Przestań! – warknęła Justyna. Miała rozchylone usta i oczy wielkości jednomilionówek kanadyjskich. – Naprawdę... Są lepsze sposoby na zerwanie.

– Cholera – Marcin złapał się za głowę. – Błagam, nie udawaj, że nie wiesz, o czym mówię. Denerwuję się, jak wszyscy robicie mnie w bambusa.

– Ale ja...

– Denerwuję się, rozumiesz?

Przełknęła ślinę. Miała na sobie krótkie spodenki i bluzkę w kwiatki. Smukły fartuch, wiązany z tyłu paskiem, wisiał na oparciu krzesła.

– Wyjdź stąd, proszę.

– „Wyjdź”? – Złapał ją za kitkę. – Mam wyjść?

– Ała! Zostaw mnie!

Uderzyła Marcina w podbrzusze. Marcin wykręcił jej rękę.

– Ty przebiegła... Mów, jaki macie plan.

– O chuj ci chodzi, człowieku?!

Nieudolnie próbowała się wyszarpnąć.

– Jaki macie plan, pytam!

– Na Odyna! Co tu się wyprawia?! – Przysadzisty mężczyzna z fryzurą Ragnara Lothbroka wparował do kuchni.

– Szefie, na pomoc!

– Puszczaj ją!

Marcin odepchnął dziewczynę i pokazał legitymację.

– Policja.

– On mnie zaatakował, szefie!

Krasnal nerwowo biegał wzrokiem od kucharki do policjanta i z powrotem.

– Jestem tu służbowo – powiedział Marcin.

– Akurat – Justyna schowała się za plecami niskiego grubasa.

– Prowadzę śledztwo. Niech pan nie przeszkadza.

– To zwykły wariat, szefie.

– Coś się stało? – Kobieta zza lady zmaterializowała się w progu. W tym świetle miała jeszcze ciemniejszą twarz, a jej włosy wyglądały na bardziej tlenione.

Krasnal gestem wyprosił kelnerkę. Następnie przyjrzał się policjantowi.

– Proszę pana, to jest mój lokal, a pan używa przemocy fizycznej wobec...

Marcin wyjął broń. Przeładował.

– Dobra, dobra. – Właściciel knajpki czmychnął tylnymi drzwiami.

– Ale szefie...

Zostali we dwójkę. Słońce, wpadając przez okno, rysowało na posadzce kwadratową plamę. Promienie odbijały się od zamka pistoletu, wymierzonego teraz w Justynę. Wyglądało to tak, jakby lufa płonęła srebrnym ogniem.

– I co? – Łzy zaszkliły jej w oczach. – Aresztujesz mnie?

– Jaki jest wasz plan?

– Marcin, opamiętaj się w końcu!

Nacisnął na spust.

Powietrze zadrżało. Trzask zamykanych drzwi rozszedł się po restauracji; powiew wiatru doleciał aż do kuchni. Zapewne elegancko ubrana para właśnie opuściła lokal.

– Chciałeś mnie zastrzelić?

Marcin obrzucił pistolet zdezorientowanym spojrzeniem. Zdezorientowanym nie dlatego, że broń nie wypaliła. To było oczywiste – Marcin nie zsunął skrzydełka odbezpieczającego. Pistolet składał Andrzej, a on miał manię zabezpieczania broni, od czasu, kiedy jego kuzyn postrzelił się w stopę. Marcin wydawał się zaskoczony, że w ogóle trzyma coś w dłoni.

– Cholera. – Schował pistolet. – Nie mógłbym... Przecież... nigdy nie zrobiłem krzywdy kobiecie.

– Nie wiem, co ci odużyło, ale ja naprawdę nie zrobiłam nic złego.

– Jasny gwint. – Oddychał głęboko, stukając palcami w klatkę piersiową. – On przejmuje nad mną kontrolę. To już nie ja. – Złożył ręce. – Muszę go powstrzymać.

– Za późno, Marcin. On już wygrał.

Słowa Justyny dotarły jakby z drugiego końca tunelu. Albo z dna studni. Spod wody. Echo zagulgotało, wirując między śliskimi ścianami.

Właśnie przyznałeś się do winy.

Pan nie udawał. Pan naprawdę podchodzi do sprawy emocjonalnie.

Ukraińscy separatyści, którzy nie są Ukraińcami.

UNLIKE PIE. Inne wypieki. Jak te na twarzy Marcina. Inny Marcin. Wszystko inność.

– Hej! Słyszysz mnie?

Otrząsnął się z zamyślenia.

– Nie, nie wygrał. Jeszcze nie...

– Co? – Justyna uniosła brwi.

– Przed chwilą powiedziałaś, że on już wygrał.

– Ja? Nie mówiłam o żadnym „nim”. Powiedziałam, że powinni cię zamknąć, zanim kogoś zabijesz.

Rosyjskie władze, twierdzące, że nie wspierają separatystów.

Marcin odwrócił się. Spostrzegł wielki garnek, a na nim swoje odbicie. Twarz była rozmazana.

2 sierpnia 2014, późne popołudnie

Twarz inspektora była rozmazana. Przynajmniej w oczach Marcina.

– Oddaj broń.

– Nie możesz tego zrobić, szefie.

– No jasne, że nie. Awantura w restauracji to przecież nic takiego.

– Ale szefie, ja jestem zagrożony...

– Dosyć! – inspektor uderzył w biurko. – Jeszcze jedno słowo i nie skończy się na el cztery, tylko wniosę o zawieszenie. Masz tydzień wolnego. Odpocznij, zrelaksuj się. Potem zobaczymy.

Noc z 2 na 3 sierpnia 2014

Agnieszka (czy też jej sobowtór) powiedziała Marcinowi, że boi się spać z psychopatą i ka-
zała mu wypieprzać do salonu.

Marcin leżał na kanapie. Nawet nie próbował zasnąć. Wgapiony w sufit, mierzył się ze wspomnieniami z minionego dnia. Widział swoją pieść na twarzy dilerka. Widział swój palec na spuście. Widział odbicie swojej twarzy na garnku. Te trzy migawki najtrwalej utkwily w pa-
mięci.

– Tak mało mnie we mnie – wyszeptał.

Pod kasetonem wisiała pajęczyna, a w niej młoda pszczołka. Tkwiła pośrodku sufitu. Nie w rogu, nie gdzieś przy szafie czy drzwiach, tylko idealnie pośrodku. Pszczołka nie ruszała się. Ale żyła; Marcin był pewien, że czeka ją jeszcze wiele minut niepewności, minut albo i godzin, do czasu, aż przyjdzie pająk i zacznie wcinać ofiarę.

Zerwał się z kanapy. Wziął kluczyk do samochodu i w samej pizamie wybiegł na zewnątrz.

Świtało, kiedy zjechał z obwodnicy przy lesie. Zazwyczaj zostawiał samochód na skraju łąki; tym razem pojechał dalej. Minął pole uprawne i zatrzymał się opodal rzeki, płynącej z szerokiego kanału pod ulicą. Nie wyłączał silnika. Wysiadł, otworzył bagażnik. Grzebał w nim przez moment, aż znalazł linę holowniczą. Trzasnął klapą. Rzucił linę na bok. Wrócił za kierownicę, ale nie zamykał drzwi. Od rzeki dzieliło go kilkadziesiąt metrów. Wbił bieg i rozpędził samochód. Wyboje trzęsły zawieszeniem. Docisnął gaz. Pięć metrów przed rzeką wyskoczył.

Wrzasnął z bólu, gdy jego łokieć trafił na kamień. W tej samej chwili głośne chlupnięcie rozszło się po okolicy.

Opel gulgotał, zanurzając się w wodzie.

„Grunto to nie zostawić śladów” – pomyślał Marcin.

Wstał. Odetchnął, zabrał linę holowniczą i ruszył brzegiem uprawy. Dodał do łąki, następnie powędrował piaszczystą drogą, po której niegdyś biegał. Pół kilometra dalej skręcił w las. Ptactwo ćwierkało, im dalej od drogi, tym głośniejsze i mniej przyjaźnie. Piżama robiła się mokra, ściółka skrzypiała pod bosymi stopami.

Dziesięć minut później stwierdził, że już wystarczy. Zawiązał pętlę i znalazł dogodny drzewo. Wdrapał się na wysokość czterech metrów.

Myślał o pszczołce w pajęczynie. Pszczołka wcale nie jest bezbronna. Może nie dać się zjeść pajakowi. Może wbić mu żądło w paskudny odwłok. Pszczołka i tak zdechnie. Ale nie musi pozwalać, by pajak zrobił z nią, co zechce.

Za późno, Marcin. On już wygrał.

– Cholerna banda podmieniaczy – wymamrotał, uczepiając linę do gałęzi. – Myśleliście, że nie będę walczył? Że pozwolę mu przejąć mnie całego? Nigdy. Zabiję sukinsyna, a wy go nawet nie znajdziecie.

Założył pętlę. Raz jeszcze przypomniał sobie odbicie, które widział najpierw w lustrze, a później na garnku. Inna twarz.

– Zdychaj, podmieńcu.

Skoczył.

Gałąź zgrzytała. Marcin czuł chropowaty ucisk na gardle. Zapach roślin wdzierał się do nosa, wszechobecna zieleń drapała w oczy. Język wyłaził na wierzch.

Wierzał się, ale tylko przez parę sekund. Później szarpiący ból zelżał. Przed oczami robiło się coraz ciemniej. Drzewa szumiały cicho, jakby w oddali.

Nagle podryg myśli wstrząsnął Marcinem. Co z tego, że nie zostawił żadnych śladów? Przecież to ten las, obok którego poznał Justynę. To ta godzina, o której oboje przyjeżdżali biegać. To ta piaszczysta droga, na której wszystko się zaczęło.

„Justyna jest częścią spisku. A jeśli znajdzie podmieńca? Jeśli go odratuje?”

Świadomość uciekła.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Heisenberg, dodano 24.05.2015 19:12

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.